ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

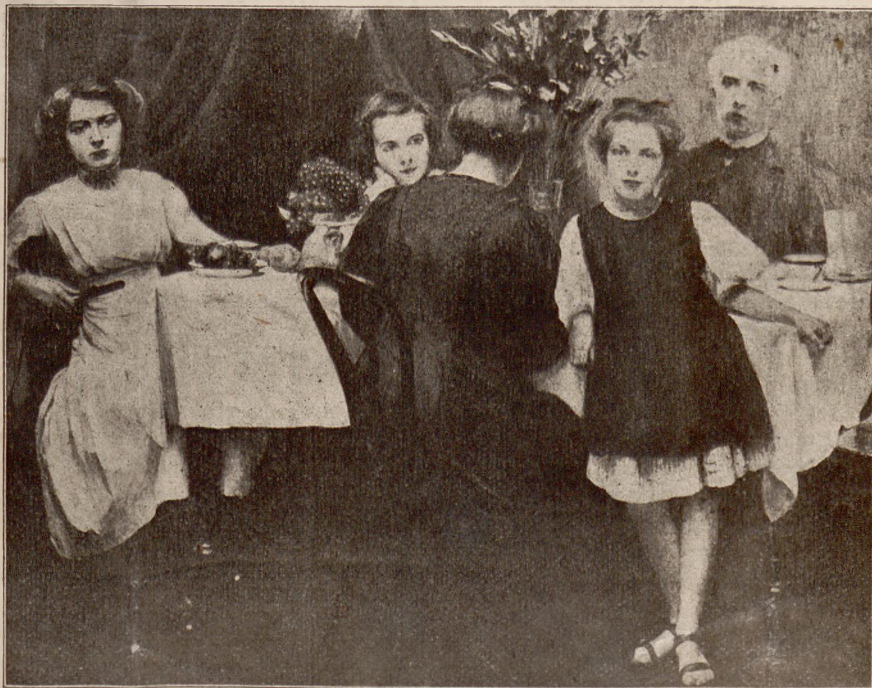
ROK VI POZNAŃ LISTOPAD 1936 NR 11 (61)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID

JÓZEF BRZEZIŃSKI:

„WCZORAJ" I „DZIŚ" NA WYSTAWACH POZNAŃSKICH

Jubileuszowa wystawa 50-lecia pracy przy sztalugach przedstawiciela starego Lwowa Aleksandra Augustynowicza została otwarta w salonach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Wystawa obejmuje około setki dzieł, do czego dochodzą jeszcze fotografie i reprodukcje kolorowe obrazów. Oprócz prac z ostatnich lat znajdują się i dzieła z okresu lwowskiego, kiedy to artysta stanął w rzędzie znakomitych polskich portrecistów. Z tego okresu pochodzi wielki portret kardynała Sembratowycza (własność Muzeum Narodowego w Krakowie) zwracający uwagę przede wszystkiem świetnym studium twarzy i rąk. Z innych portretów należy wymienić dobry „Portret mecenasa dra Cz." i „Portret p. Cz.", prace utrzymane w tonacji zimnej, ciemno-błękitnej z czernią. Oprócz portretu Ireny Solskiej, (znajdującego się w barwnej reprodukcji na wystawie) to chyba najlepsze prace art. Szkoda, że portretu Solskiej nie wystawiono w oryginale. Pełny, choć bardzo subtelny realizm jest w „Autoportrecie I" — (akwarela nagrodzona złotym medalem w Berlinie). Z innych portretów znajdują się jeszcze: dalsze autoportrety, „Portret ojca artysty", „Portret córek artysty" i „Portret żony artysty" (zestawienie czerwieni z dopełniającą zielenią). Poza portretem pracuje artysta nad studiami kwiatów (kwitnące drzewa, kasztany, peonie, pelargonie) i pejzażu (Huculszczyzna, Podhale) w akwareli i oleju. Wystawa jubileuszowa Augustynowicza jest interesującym pokazem pracowitego dorobku jednego z najbardziej znanych polskich portrecistów „wczorajszej" plastyki polskiej.



Aleksander Augustynowicz *Portret rodziny (ol.)*

Zasłużony artysta pracuje obecnie stale w Wielkopolsce, osiadłszy w Kołaczkowie, w pow. wrzesińskim.

Wacława Taranczewskiego wystawa w „Salonie 35" pokazuje tego czołowego modernistę poznańskiego na przestrzeni ostatnich lat trzech, od 1934—36. Pokaz to bardzo poważny i niezmiernie ciekawy wobec stałej ewolucji twórczej artysty i wobec zagadnień kolorystycznych, jakie młody malarz stara się rozwiązywać w swoich płótnach. — Taranczewski tematy swych prac traktuje

eksperymentalnie, zależnie od przetworzenia wrażeń i impulsu. Powstają warianty podobnego tematu w różnych gamach barwnych, spokojnych i bardziej impulsywnych, ściszonych i bogatszych kolorystycznie. A poza tym studia światłocienia, gdzie barwa nabiera specjalnego charakteru pod wpływem cienia i światła różnej jasności, krańcowego ściemnienia czy rozjaśnienia. Nie obojętnym jest również rozmieszczenie kolorów i ich lokalizacja na płaszczyźnie obrazu. Czy to będzie różowa wstążeczka, czarna laska. plama czerni czy żółci bijąca właśnie ze środka płaszczyzny, czy zimne tło, czy dominujący niebieski kolor dzbanka i jego zależne od cienia natężenie. Nie ma tu już rysunku, lecz uproszczone schematy komponowane kolorystycznie, kontrastowo i dopełniająco. Zagadnieniem kolorów ściszonych i impulsywnych jest „Mała malarka I" i II, „Martwa natura z różową wstążeczką I" i II, „Wnętrze z aktem I" i II. „Mała malarka I" — to studium ściszone, stonowane w kolorze dominującym zielonobrązowym. Drugie na ten sam temat płótno jest w kolorach nasyconych, tonie fioletowym. Tak samo w barwach nasycone, impulsywne są wtórne ujęcia innych tematów. W ewolucji twórczości Taranczewskiego widać wyraźne przejścia od impresjonistycznego w ściszonych odcieniach układania barwy w zlewających się z sobą plamach do nasycenia gamy i większych płaszczyzn schematyzujących formę. Dzieła z roku 1934 jak np. „Martwa natura z zielonem tłem", „Martwa natura z czarną laską", „Bukiet", „Wnętrze z nieb. zasłoną" cechuje jeszcze przewaga plamy impresjonistycznej. Z roku 1935 na szczególną uwagę zasługują „Portret Pani z książką" i „Portret Pani w oknie", dzieła, w których oprócz rozwiązywania strony formalnobarwnej jest i portretowana osoba ze swoją treścią psychiczną. „Wnętrze: Pani w czerwonej bluzce" z r. 36 jest pracą skomponowaną w wielkich powierzchniach kontrastujących barw z neutralną plamą żółtą w środku obrazu. Takie dzieła jak „Pani w czerwonej bluzce" i warianty „Małej malarki" są poważnym rezultatem wysiłków twórczych wciąż szukającego artysty. Drugą część wystawy stanowią rysunki (ołówkiem, piórkiem, pendzlem, sangwiną), wśród których zwracają uwagę głowy wykonane ołówkiem i sangwiną (nr 23, 24) oraz tusze rysowane pendzlem.

JANUSZ DERESIEWICZ:

HOŁD PRUSKI W POZNANIU

Wyjechawszy dnia 4 marca 1493 r. na czele gwardii swojej z Piotrkowa na Srudek, Kalisz, Pleszew, Pyzdry do Poznania, stanął tamże Jan Olbracht król, w dniu 15 marca i odrazu zagaja na zamku sądy. Niechybny to znak objęcia władzy. Miasteczkom i instytutom kościelnym leżącym na drodze królewskiego pochodu, nadaje przywileje, wprawdzie nie dlatego, że „żądali" go mieć królem, lecz w poczuciu wdzięczności za przyjęcie i ukoronowanie nowego dziedzica korony Jagiellońskiej. Nawzajem król otrzymuje dary pieniężne, na powitanie nowych rządów.

Król zaznacza swe wstąpienie na tron zmianami personalnymi. Po śmierci nieprzychylnego w czasie elekcji arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego, zjawia się 23 kwietnia z rycerstwem w Gnieźnie i na posiedzeniu kanoników w kapitularzu oświadcza: „Ponieważ nadane nam jest imię św. Wojciecha, przeto przybyliśmy tutaj, aby uzyskać odpusty. Skoro jednak także dzisiaj jest dzień wyboru przyszłego biskupa, który jest najwyższym senatorem tego królestwa i za zgodą naszych poprzedników bywał wybierany, przeto oświadczamy, że nikogo w tej mierze za bardziej sposobnego nie uważamy, jak brata naszego Fryderyka, elekta krakowskiego." Jeszcze tego roku Fryderyk został arcybiskupem, kardynałem i ponadto zatrzymał biskupstwo krakowskie. Po myśli króla poszło także obsadzanie innych godności kościelnych.

Zmiany dotyczyły także świeckich godności. W miejsce żyjącego jeszcze Mikołaja z Kutna, wojewody łęczyckiego, stanowisko generalnego starosty obejmuje sławny wówczas legista Dr Jan Ostroróg, kasztelan poznański a wojewodą poznańskim zostaje Jan Szamotulski, dotychczasowy wojewoda kaliski.

Poznań jest wówczas świadkiem niecodziennego aktu. Król wzywa wielkiego mistrza Zakonu Jana v. Tieffena, jako pierwszego senatora Królestwa, do stawienia się na zjazd w Poznaniu. W. mistrz godzi się i 9 maja wyrusza z Królewca. 15 maja staje w Toruniu, gdzie go witają wysłańcy królewscy a 21 maja zatrzymuje się na miejscu zjazdu. Naprzeciw wyszli mu arcybiskup lwowski, biskup kujawski i poznański dalej Andrzej Szamotulski, Ambroży Pempowski, Piotr Kmita i Rafał Leszczyński, marszałek nadworny. Po nabożeństwie żałobnym za duszę króla Kazimierza i po ugoszczeniu, następuje wymiana zdań i to dość ożywiona, bo król żąda złożenia przysięgi wierności a w. mistrz prosi o zaprzysiężenie wiecznego pokoju. I jeszcze 29 maja, wśród pełnej rady w. mistrz złożył przysięgę wierności a król dał ustne zapewnienie, że będzie opiekunem zakonu. Co ciekawe, że pisemnej deklaracji króla, o otoczeniu zakonu swoją opieką, w. mistrz nie przyjął, „ponieważ szła dalej i głębiej, niż przyrzeczono."(!)

Takie były sprawy dotyczące polityki wewnętrznej i to tylko ważniejsze. A były przecież i wydarzenia z polityki zagranicznej. Był poseł rzeczpospolitej weneckiej, posłowie króla czeskiego i cesarza i króla rzymskiego, byli wreszcie i Tatarzy. Poseł litewski przynosi groźne wieści o wojnie z Moskwą i Tatarami. W Poznaniu także zawarł król, przez posłów tureckich trzyletni rozejm z sułtanem.

Prawie roczny pobyt króla Olbrachta w Poznaniu, zaznaczył się i przeszedł do historii wieloma aktami państwowymi natury bardzo poważnej. Rzuca się to tembardziej w oczy, gdy się weźmie pod uwagę krótki stosunkowo czas panowania tego króla.

O Janie Olbrachcie królu i człowieku, napisał ostatnio wyczerpujące studium Fryderyk Papée. Staje przed nami obraz króla nieszczęśliwego. Obraz wskrzeszony z rozsiannych w kraju i zagranicą źródeł i obraz wierny. Król nieszczęśliwy, bo najlepsze zamiary szły w niwecz w zetknięciu z prawno-ustrojową rzeczywistością polską.

Opinia Dr. Papée'go, wypada raczej przychylnie dla króla, i przeciwstawia się ostrym sądom Jakóba Caro i Olgierda Górki. Olbracht wzrastał pod wpływami dwóch różnych światopoglądów, z których jeden reprezentował Długosz, drugi Kallimach. Dwa takie okresy panowania Olbrachta przeciwstawiają się sobie: pierwszy pomyślny, pełen rozmachu, drugi nieszczęśliwy i depresyjny.

Odpowiedzialność za nieudanie wyprawy z r. 1496 spada nie na króla, a na sejm, który poskąpił pieniędzy a uchwalił pospolite ruszenie. Pospolite ruszenie było już wówczas anachronizmem, była to masa niezorganizowana i nieposłuszna, objuczona wozami prowiantowymi, a źle uzbrojona. Zresztą klęska nie była taka straszna, jak ją później przedstawiono. Klęska odbiła się głównie na wozach i ciurach, bo szlachty zginęło kilka tysięcy, a znaczną, jak na owe czasy artylerię, uratowano.

Straszne dopiero były najazdy odwetowe, które po tej klęsce nawiedziły Polskę i pozbawiły ją około 100000 ludności rolniczej.

Klęska, wynikła nie z winy króla, złamała go. Oddaje się życiu hulaszczemu, które wydatnie odbiło się na jego zdrowiu. Podobno król nabawił się modnej wówczas, importowanej (także podobno) z Ameryki przez Kolumba, tzw. pospolicie „morbus gallicus". Pod koniec życia, mimo choroby, jest zawsze jeszcze czynny. I gdyby śmierć nie przerwała pasma jego czynnego życia, kto wie, czyby nie rozwiązał drażniącej sprawy Prus Wschodnich, bo koncepcję powziął dobrą i pierwsze etapy jej wykonania, były zupełnie pomyślne.

Książkę Fryderyka Papée'go o Janie Olbrachcie, można polecić szerokim kołom Czytelników. Autor zna omawianą epokę, jak rzadko który badacz. Nic dziwnego, bo przecież za zadanie swego życia postawił sobie uzupełnienie historii Długosza do czasu, od którego obfitym strumieniem płyną acta Tomiciana. Toteż wydał dokumenty dotyczące czasów Aleksandra, przygotował do druku dokumenty dotyczące czasów Olbrachta i opracował ostatnie lata panowania Kazimierza Jagiellończyka. Pozatym książka jest napisana żywo, i nie ubliżając w tym bynajmniej sędziwemu uczonemu, z zacięciem reporterskim, co się uwydatnia w niektórych opisach epizodycznych. Może to ostatnie zachęci niejednego Czytelnika do lektury, bo największym straszakiem jest podobno oschłość stylu i opisów wielu naukowych, a częściej pseudonaukowych studiów.

DR STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

PRZYBYSZEWSKI W JUGOSŁAWII

To, że Przybyszewski miał bliski kontakt z Skandynawią, Niemcami i Czechami, wiadome jest wszystkim Sam też nieraz mówił o popularności swojej w Rosji, co w świetle statystyki wydawniczej okazuje się prawdą. Dziwniejsze się wydaje utrzymywanie przez poetę stosunków z Słowianami południowymi. A jednak fakt to również nieodparty. Okazuje się, że imię Przybyszewskiego pośród Serbów, Chorwatów i Słoweńców rozbrzmiewało na przełomie XIX i XX wieku oraz przed i po wielkiej wojnie całkiem rozgłośnie. Znamy przebieg żywych manifestacyj ku czci poety w Zagrzebiu w r. 1922, na 30-lecie działalności pisarskiej Przybyszewskiego.

Z poetów jugosłowiańskich żył w bliższym kontakcie z Przybyszewskim dramaturg Josip Kosor. Właśnie do niego skierowany jest list, który na miejscu niniejszem ogłaszam. Komentarz obszerny do pisma znajdzie się w III tomie „Listów" S. Przybyszewskiego, będących właśnie pod prasą.

Warszawa, listopad 1936.

DO JOSIPA KOSORA W GRAVOSA

Warszawa, Zamek, 10. 12. 25.

SERCEM UKOCHANY PRZYJACIELU I BRACIE, z najgłębszą radością odczytaliśmy Twój list. Zasłużyłeś naprawdę na szczęście, o którem nam piszesz.

Mnie jednakże nie pisano w gwiazdach, żeby mój los wkroczył na inne niż dotąd tory. Ta sama dzisiaj jak dawniej beznadziejna bohema i jedynie serdecznej, kochanej dzielnej pomocy ze strony żony mam do zawdzięczenia, że jestem w możności koniec z końcem związać. Powołano mnie coprawda do prywatnej kancelarji prezydenta, otrzymałem małe mieszkanie na zamku, ale w najdroższem na całem świecie mieście — a Warszawa naprawdę jest taką — z tem uposażeniem mógłbym nie całe dziesięć dni wyżyć. Resztę muszę moją pracą dorobić, a to jest ciężko, bo w tym najsmutniejszym ze wszystkich smutnych okresów w Polsce cały handel księgarski i ruch wydawniczy zamarł w zupełności.

Nie byłoby to jeszcze rzeczą najgorszą, lecz stan mego zdrowia zostawia wiele do życzenia. Klimat jest dla mnie w najwyższym stopniu niekorzystny, a na południe jechać nie możemy, bo nie mamy pieniędzy. Od sześciu już tygodni nie wychodzę z domu. I jestem przy życiu jedynie dzięki pełnej poświęcenia opiece mej żony.

Myślimy często o Tobie. Byłeś naszym wiernym, wiernym kochanym przyjacielem. Ileśmy pięknych chwil razem przeżyli.

Piszesz, że byłoby dla Was radością, gdybyśmy Was w Waszej wspaniałej willi nad Adriatykiem mogli odwiedzić. I dla nas byłoby to wielkiem szczęściem. Właściwie spełnieniem jednego z najpiękniejszych snów. Ale podróż do Was jest bardzo daleka i kosztowna.

Być może udałoby się to, gdyby w Zagrzebiu zagrano jeden z moich dramatów. I gdyby rząd jugosłowiański dał nam wolne przejazdy na kolejach w Jugosławji. Czechosłowacja zawsze to robi: przez teren czechosłowacki mamy wolną kartę jazdy na cały rok. Otóż wtedy sen nasz mógłby być spełniony. Inaczej

---

ALFRED KOWALKOWSKI:

POŻEGNANIE

Wiatr nas owiewa smutnym śpiewem,
Śnieg gasi pożar drżących ust.
Przyszłość już rośnie tęsknot drzewem.
Daj rękę. Pójdźmy w łkanie brzóz.

Nie myśl, czem czas jest, i czem przestrzeń —
Konieczność nasz odmierza krok.
Szczęście, jak fala, wróci jeszcze.
Któż wie, co dłuższe, — dzień, czy rok?

Zima szeleści w srebrnej bieli,
Zawodzi jękiem chłodu z wydm.
O, łączyć łatwiej jest, niż dzielić...
Słyszysz? — Ból serca potargał rytm!

Bądź silna, jak ta śnieżna burza —
Jak ja... Czy mnie, czy tobie drży tak pierś?
Chwil pocałunkiem nie przedłużaj.
Wrócę. Ta wola jest jak śmierć.

Spójrz, już zielonych marzeń wieniec
Obydwu nas rozkwieca w wiersz,
Bo wyższe jest nad przeznaczenie
Przykuwające władztwo serc.

sprawa jest niemożliwa. Czy sądzisz, że Ministerstwo oświaty w Jugosławji dla mnieby to zrobiło?

Jest to klątwą długiej przerwy we wzajemnych stosunkach, że chciałoby się Bóg wie nie co wzajemnie sobie opowiedzieć a wkońcu nie wie się od czego zacząć. Rok 1916 był ostatnim, jak poraz ostatni spotkaliśmy się w Wiedniu? Nieprawda? A więc prawie dziesięć lat temu. Potem otrzymywałem od Ciebie wieści z najbardziej nieprawdopodobnych miejscowości, lecz nigdy dokładnego adresu. Dowiedziałem się, że furja wojny przepędzała Cię z miejsca na miejsce, lecz nigdzie nie można Cię było dosięgnąć.

Dopiero w roku 1922 dowiedziałem się nieco o Tobie w Krakowie, kiedy skierowałeś do mnie swoje wspaniałe pismo powitalne.

Przez pewien czas nic nie tworzyłem. Otrzymałem posadę w Dyrekcji Kolejowej w Gdańsku, gdzie cicho i pięknie sobie żyliśmy. W owym okresie oddaliłem się od literatury. Teraz pracuję znowu i, rzecz dziwna z taką usilnością, intensywnością, że czasem mi się zdaje, jak gdybym miał dopiero zacząć, a to co było przedtem, to było tylko przygotowanie do tego, co jeszcze mam napisać.

Twoje „Białe płomienie" znam z opracowania niemieckiego. Czy pamiętasz, jak chodziliśmy z nimi do Bleya?

Bądź przekonany, drogi Bracie, że Twoje szczęście i nas szczęściem napełnia, proszę Cię też serdecznie, żebyś nam dał rychło znać o sobie. Dla Twej żony przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia. Moja żona pozdrawia Cię najserdeczniej a ode mnie serdecznie ukochany Przyjacielu-bracie, przyjmij uścisk i ucałowanie. Twój po wszystkie wieki kochający Cię Stach Przybyszewski.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI:

DOŚWIADCZENIE

To nieważne, że w oczach czaił się krzyk —
mewy z krzykiem zszywają błękit z falą.
Wydęty ściśniętem milczeniem balon
pod powłoką nieba buntem stygł.

Przykryj dłonią zmysłów ostrą kliszę.
Innych dłoni obraz zbyt długo mnie truł.
Dotykiem twym, jak ogniem ożywiony muł
na dżdżystej oponie tęczą się zapisze.

Lecz teraz przez usta znowu pełne nieba
słowa nie olśnią, jak dawniej przez pryzmat.
Dumnie o Boga zazdrosna schoizma
na źrenicach wiesza słońca medal.

Nie patrz: Ukryta jest dziś barwa ust.
Cisza wyrazi zadumy godło.
Zaplątany niepamięcią w obłok
snem w serce spływa uwiązany mózg.

Nie mów: słowa uniosą szczęścia namiot.
Milczenie chwilę w czasie zakotwicza.
Może wspomnienia jutra nie poplamią —
Życie przybrało już lichwiarski ryczałt.

STYGMAT NIEBA

Niepotrzebnie już noc wypręża ramiona.
Ciekną wyostrzone milknieniem gwiazdy
przez bierny smutku konar.

Życie spiętrzone w groźny monastyr
— przytomnych oczu rana słona,
tłoczy wspomnienia niezgojonym śladem fastryg.

Świat nie pociąga otwartą bramą —
zbyt upiorny jest święty Kaaba.
Przez napięty tęsknotą sabat
nie przedostanie się ze światłem Amon.

Za ciężki haracz na barki młode:
— nieba mściwy stygmat.
Aryman, władca bólów i wygnań
nie ustąpi. Samemu odejść.

KONRAD LASEK:

Z WIZYTĄ U TWÓRCY MUZYKI DO „ROTY"

Są ludzie, którym dana jest nieustanna młodość. Najwięcej ich wśród artystów. U tych, których przepełnia pasja twórcza. Feliks Nowowiejski — twórca „Roty" jest wciąż młody! —

W zacisznej willi na Sołaczu pod Poznaniem — zdala od zgiełku miasta — wyładowuje znakomity kompozytor swój płonący temperament. W czterech ścianach pracowni odbywa się nieustanna walka natchnienia z prawami formy. Na wszystkich czterech ścianach mnóstwo widzę dowodów walki i — zwycięstw. Wieńce, wstęgi, dyplomy, fotografie z dedykacjami wybitnych osobistości — oto co narzuca się przy wstępie do pracowni artysty.

Nie trzeba jednak tego rodzaju „dowodów". Nazwisko samo wystarczy. Nazwisko, które stało się już tytułem bogatej twórczości kompozytorskiej, wypowiadającej się zwłaszcza w formach muzyki oratoryjnej, scenicznej, symfoniczno-organowej... Tak! Nazwisko: „Nowowiejski" — dobrze jest znane najpoważniejszym estradom muzycznym świata.

Już w młodzieńczych latach zdobywa Nowowiejski liczne nagrody muzyczne. (Nagroda im. Meyerbeera, nagroda im. Beethovena w Arras, w Ameryce nagroda „Columbia" i t. d.). Oratorjum jego „Quo Vadis", które wykonane zostało osobiście przez mistrza w 1913 r. w Nowym Jorku, zapoczątkowało tryumfalny pochód tego dzieła po obu półkulach świata. Wybitni krytycy amerykańscy wyrażają się o tem dziele z wielkiem uznaniem. Piszą: „Oratorjum „Quo Vadis" stanowi epokę w literaturze muzycznej!" — Dalsze oratorja jak: „Znalezienie św. Krzyża" i „Syn Marnotrawny" były także już ozdobą niejednego repert. estrady światowej.

Osobne — zaszczytne miejsce zajmuje twórca muzyki do „Roty“ jako piewca morza polskiego. — Jego opera: „Legenda Bałtyku“ zaklęła w tony odwieczoną tęsknotę słowiańską do morza. Dzieło to, które powstało z wielkiej miłości do morza, nazwać możnaby zaślubieniem artystycznym muzyki polskiej z Bałtykiem.

Dobrze odczuł i zrozumiał Nowowiejski morze, bo umiał nam dać pełen obraz potęgi i ciszy morza. Nastrój ciszy, grę fal, rytmiczne kołysanie się wodnych bezmiarów, ponury nastrój chmur zbierających się w duszy ludu przymorskiego — oto momenty, które w Legendzie Bałtyku znalazły poraz pierwszy swój muzyczny wyraz. —

Druga opera „Kaszuby“ oparta o motywy pieśni kaszubskich jest następnem dziełem, które z wieloma pieśniami, jak: „Hymn Pomorski“ i „Hymn Bałtyku“ są niekłamaną adoracją polskiego morza i Pomorza.

Muzyka symfoniczna pociąga Nowowiejskiego najsilniej w obecnym okresie tworzenia. Jego cykl dziewięciu symfonij organowych ma stać się testamentem artystycznym twórcy. W ramach zwartej budowy formalnej zawierają symfonje religijną filozofję życia jako treść całego cyklu. Po odegraniu pierwszej, otrzymał Feliks Nowowiejski godność członka honorowego jednej z najpoważniejszych angielskich instytucyj muzycznych: „The Organ Music Society“. Utwory symfoniczne Nowowiejskiego cechuje nowoczesna harmonizacja, głęboka inwencja, oraz bogata szata instrumentacyjna.

Ostatnia symfonja F-mol z cyklu dziewięciu, wykonaną została poraz pierwszy we Frankfurcie nad Menem na międzynarudowym koncercie Katolickiej Muzyki Liturgicznej i Religijnej w interpretacji prof. Rutkowskiego.

Nazwisko swe związał Nowowiejski z historją narodu polskiego zwłaszcza przez stworzenie muzyki do „Roty“, którą skomponował do słów Konopnickiej, z okazji odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego. Cwierćwiecza już doczekała się ta pieśń, która stała się własnością całego narodu.

Nowowiejski jest nietylko znakomitym kompozytorem, ale również doskonałym dyrygentem, pedagogiem, wirtuozem organowym. Ponadto nie wolno zapominać o tym, że przyczynił się on do kultywowania pieśni ludowych, ubierając je w szaty harmoniczne.

W czasie wręczenia Państwowej Nagrody Muzycznej w 1935 r. Minister W. R. i O. P. specjalnie zasługę tę podkreślił w następujących słowach: „Dzięki niestrudzonej Pańskiej energji i pracowitości pieśń ludowa dotarła do setek chórów w formie wybitnie szlachetnej. Należy Pan do tych nielicznych twórców polskich, których autorytet wśród Polaków na wychodztwie krzewi i propaguje za pośrednictwem polskiej pieśni ludowej miłość ku ojczystej ziemi, często może nazawsze porzuconej“. —

Z ostatnich utworów mistrza te, które mi przedstawił, to szereg pieśni na sopran i fortepian: między innymi cykl „Róże dla Safo“ (I „Glukupikros, II Faon, III śmierć Safo, IV Epitafjum) do słów Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej.

Mówimy o pracach, które Nowowiejski ma obecnie na warsztacie.

Słowa nie mogą jednak dostatecznie wszystkiego wyrazić, bo mistrz wstaje od biurka i siada do fortepianu. Gra. Ostatni swój cykl (3 nokturny) „Noce“ do słów Jarosława Iwaszkiewicza.

Słucham — i „widzę“ muzykę Nowowiejskiego. Nowowiejski zna dobrze tajemnicę wywoływania asocjacyj plastycznych — dźwiękiem. Dlatego tak chętnie i z tak pełnym rezultatem współpracuje z poetą. Ten niezapomniany koncert „dla mnie“, kończy się już — niestety. Piękna głowa, w czasie gry podana nieco do tyłu, zwraca się teraz z życzliwym uśmiechem w moją stronę. — No! — zatem „pokazałem“ panu nad czem obecnie pracuję! —

Dziękuję mu za to serdecznie — i — żałuję niezmiernie, że nie stać mnie na to, by czytelnikom „Wici W.“ pokazać artystę i jego wielkie dzieło tak, jak to miałem szczęśliwą możność „zobaczyć“ w zacisznej willi na Sołaczu. —

ALICJA IWAŃSKA:

SPINACZE!

Gubię słowa i myśli,
o niczem nie pamiętam,
jestem niedokończona
i nie jestem zaczęta.

W niczem nie umiem się przejrzeć
a jestem podobno blada...
Każde słowo się we mnie
na litery rozkada.

Kiedyś może to wszystko
pozbieram poznaczę
i przypnę do pamięci
metalowym spinaczem.

MIECZYSŁAW DEREŻYŃSKI:

DOKTOR Z KUJAW, KTÓRY ŻYĆ NIE UMIAŁ

TRAGICZNE DZIEJE JÓZEFA ULATOWSKIEGO

Z kolegów gimnazjalnych Jana Kasprowicza, którzy żyli z nim bliżej na gruncie inowrocławskim, kilku poświęciło się zawodowi dziennikarskiemu, — że wymienimy choćby ś. p. Józefa Siemianowskiego z Szarleja i ś. p. Józefa Ulatowskiego z pod Strzelna.

Józef Jastrzębiec-Ulatowski, późniejszy dr phil. et chem., urodził się w Sukowach nad Gopłem 29 października 1860 r. Po ukończeniu gimnazjum inowrocławskiego, studiował chemię we Wrocławiu, Berlinie i Gryfii. Egzaminy zdał summa cum laude, zdobył duży zasób wiedzy, a że odznaczał się ogromnymi zdolnościami, proponowano mu docenturę na uniwersytecie w Gryfii. Odmówił. — Szczery Polak i wypróbowany działacz narodowy wśród polskiej młodzieży akademickiej, a zdolny chemik wrócił do kraju, gdzie niestety czekała go ciernista droga niepowodzeń życiowych. Praktyczny zawód chemika rozpoczął w polskiej stacji doświadczalnej dla rolnictwa w Zabikowie pod Poznaniem, po czym kolejno pracował w kilku cukrowniach wielkopolskich. W cukrowni żnińskiej spotkało go straszne nieszczęście, które raz na zawsze złamało jego karierę chemika: Uległ podczas doświadczeń wypadkowi silnego poparzenia głowy i twarzy, który tak dalece nadwyrężył jego oczy, że nawet po ich częściowym wyleczeniu — musiał porzucić ukochany zawód, gdyż osłabiony wzrok uniemożliwił mu pracę laboratoryjną chemika.

Dr Józef Ulatowski został dziennikarzem. Wrodzone zdolności i wykształcenie pomagały mu w żmudnej orce dziennikarskiej, lecz niepraktyczność życiowa tego wybitnego naukowca nie pozwoliła mu na dostateczne zabezpieczenie swej egzystencji.

Tak był skromny jak skromni są wszyscy ludzie wielkiej nauki. Był tak skromny, że nie umiał swej rozległej wiedzy zużyć dla siebie, zamienić jej na brzęczącą monetę, ale szafował nią szczodrze wszędzie, gdzie dane mu było pracować.

A pracował wytrwale i intensywnie. Mówiono, że był „chodzącą

encyklopedją". Znał wiele i umiał wiele. Bardzo dużo. Ale jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nie mógł ogromu swej wiedzy zużyć tak, jakby tego od niego można było wymagać. Może to i wina jego usposobienia, które nie pozwalało mu szukać nigdzie poparcia, a może wina losu, fatalnego iście przeznaczenia.

Kiedy 20 stycznia 1902 r. Piotr Paliński zaczął w Gnieźnie odsiadywać 4-miesięczną karę więzienną jako redaktor odpowiedzialny „Lecha", poprosił Zarząd Drukarni Spółkowej na jego następcę Józefa Chociszewskiego. A, że czcigodny senior literatów wielkopolskich, wierny swym przekonaniom, zamieścił w „Lechu" rzekomo obraźliwy dla prusactwa artykuł, zwolniono go z zastępstwa. Wtedy to funkcje redaktorskie „Lecha" oddano dr. Józefowi Ulatowskiemu, który pełnił je przez okres ca 3-ch miesięcy.

W październiku 1902 r. odchodzi z „Dziennika Kujawskiego" redaktor Ludwik Gayzler by ustąpić miejsca właśnie przybyłemu z Gniezna dr. Józefowi Ulatowskiemu, który jest odpowiedzialnym redaktorem z krótkiemi przerwami do czerwca 1905 r. Kierownictwo redakcji pozostaje w ręku Kazimierza Jankowskiego.

Obu tych ludzi pchnął do dziennikarstwa przypadek. Dr Ulatowski, nie mogąc pracować jako chemik, przerzucił się do dziennikarstwa. Bogatą dysponował wiedzą, brakło mu jednak zacięcia dziennikarskiego. Za jego czasów strasznie hulała hakata: wywłaszczenia, chrzty pruskie, niemczenie dzieci szkolnych były na porządku dziennym. W tych trudnych chwilach kierował pismem Kazimierz Jankowski, Pomorzanin (ur. w Pelplinie 1867 r.), niedokończony prawnik, który z konieczności jął się trudnego zawodu dziennikarskiego. Nadał on pismu kierunek skrajnie bojowy. „Dziennik" za jego redakcji zwalczał nieubłaganie, bezwzględnie, prosto z mostu sławetne postępki rozpasanej hakaty, tępił surowo i bezlitośnie sprzedawczyków, występował odważnie w obronie interesów polskich, ośmieszał pruski system szkolny, miotał gromy na twórców i zwolenników „prawa o wywłaszczeniu", wykazywał na każdym kroku niemoralność i fanatyzm faworyzowanych przez rząd pruski „kulturtraegerów". Ton pisma był bojowy. Nic też dziwnego, że jeden z prokuratorów nazwał „Dziennik Kujawski" najzacieklejszym pismem antyniemieckim.

Bojowość „Dziennika" doszła do szczytu w 1904 i 1905 r., kiedy to radni miejscy niemieccy i żydowscy zmienili nazwę Inowrocławia na „Hohensalza" — mimo stanowczych protestów ludności polskiej.

Łamy „Dziennika" przepełnione były podówczas artykułami, notatkami, feljetonami i wierszykami zjadliwymi na ten temat oraz sprawozdaniami z wieców protestacyjnych i licznymi głosami czytelników, wyrażających swe oburzenie pod adresem Niemców i żydów.



Jan Biedowicz *Pejzaż (ol.)*

Artykuły „Dziennika" cytowała wtedy cała prasa polska we wszystkich zaborach oraz prasa zagraniczna: francuska, angielska, rosyjska.

Radykalne wystąpienia „Dziennika" nie pozostały bez smutnych konsekwencyj. Procesy prasowe sypały się na głowy redaktorów jak z rogu obfitości. Dr Ulatowski dwakroć odsiadywał karę więzienną (miesiąc za rzekomą obrazę pewnego gospodarza w Ciencisku i 4 miesiące za obrazę nauczyciela Walitschka w 1905 r.). W czasie, gdy Ulatowski siedział za kratkami więziennymi, odpowiedzialnym redaktorem był Jankowski. Na początku 1905 r. ustąpił dr Ulatowski z redakcji „Dziennika Kujawskiego" i opuścił Inowrocław.

Stąd przeniósł się na Pomorze, gdzie długie lata pracował w redakcji „Gazety Grudziądzkiej", poświęcając się również gorliwie pracy społecznej. Za czasów zaborczych był z tego powodu niejednokrotnie narażony na konflikty z władzami pruskimi i cierpiał dla sprawy.

W Grudziądzu również walczył z zaciekłością hakaty, narażając się na liczne procesy.

Nie miał za swoją pracę wytrwałą, a znojną żadnego odznaczenia. Nie pozostawił też po sobie nic prócz miłości tych, którzy go znali i wdzięczności w sercach tych, którzy pracę jego widzieli i cenić ją umieli.

W „Gazecie Grudziądzkiej" jako redaktor pracował ciężko aż do ukończenia wojny światowej, z trudem utrzymując liczną swą rodzinę. Z chwilą nastania Niepodległości opuścił redakcję „Gazety Grudziądzkiej" w przekonaniu, że przysłuży się Ojczyźnie swymi właściwymi kwalifikacjami naukowymi. Ale i tu spotkał go bolesny zawód, gdyż tak długo wolno mu było tylko jako chemikowi pracować, aż nie znalazła się młodsza siła zastępcza.

Sp. dr Jastrzębiec-Ulatowski (nie Lubicz, jak to mylnie na wiadomość o jego śmierci prasa podała) pracował w licznych organizacjach na terenie Grudziądza. Obojętne mu było zabarwienie polityczne danej placówki społecznej. Wszystkich bowiem jednako za Polaków uważał i pragnął, by szczerze dla Polski pracowali. I choć może nie głośno, nie krzykliwie, ale zawsze stanowczo potępiał tych, których uważał za szkodników sprawy narodowej.

Był długoletnim członkiem Syndykatu Dziennikarzy Pomorskich i koła dziennikarzy grudziądzkich, długoletnim sekretarzem Pomorskiego Związku Tow. Pszczelniczych i wiceprezesem Tow. Pszczelarzy w Grudziądzu, członkiem honorowym „Sokoła" grudziądzkiego i „Lutni" tamtejszej oraz wielu innych towarzystw. Szczególnie oddany był naukowym badaniom przyrodniczym, miewał często wykłady zwłaszcza w tow. pszczelarskich i ogrodniczych w Grudziądzu i na prowincji. Znał ośm języków europejskich i uchodził za człowieka nieprzeciętnej wiedzy.

Że był Polakiem miłującym kraj największą, najświętszą miłością, tego dał dowody niejednokrotnie, zwłaszcza w czasach naszej niewoli, kiedy każdy redaktor szczerze polskiego pisma był bojownikiem sprawy narodowej.

Żył w warunkach więcej niż skromnych, borykając się w walce z losem o kęs chleba codziennego.

Józef Ulatowski wraz z bratem swym Tadeuszem przysłużył się i w pewnej mierze literaturze polskiej, dostarczając dr. Wandzie Brzeskiej cennych materiałów źródłowych do rozprawy pt. „Lata szkolne Jana Kasprowicza". Józef Ulatowski dał w książce tej m. in. dość dokładny i wierny obraz środowiska, w którym obracał się Jan Kasprowicz jako uczeń gimnazjalny w Inowrocławiu.

Dr Józef Ulatowski zmarł w Grudziądzu dnia 18 września 1934 r., a w trzy dni potem spoczął na wieki w ukochanej ziemi pomorskiej. W pogodny jesienny dzień wrześniowy odbył się pogrzeb tego nieodżałowanej pamięci naukowca i działacza.

W pogrzebie brały udział liczne organizacje, do których należał zmarły, a pienia żałobne nad grobem wykonał chór „Lutni". W pogrzebie brali udział: Wiktor Kulerski, szambelan Szychowski, wiceprezydent Michałowski i liczni przyjaciele i sympatycy zmarłego.

Taki oto jest żywot tragiczny dr. Józefa Jastrzębiec - Ulatowskiego z Kujaw, żywot człowieka wielkiego umysłu i serca. Losy żyć mu dostatnio i zabłysnąć nie dozwoliły, a on sam niestety żyć nie umiał.

KRONIKA POZNAŃSKA

Rok bieżący obfituje w rocznice śmierci najwybitniejszych naszych pisarzy. Poznań uroczyście czci pamięć wielkich twórców, składając im hołd pośmiertny w pięknych akademiach. Tak więc już na wiosnę Poloniści poświęcili swój doroczny zjazd w Poznaniu pamięci Żeromskiego i Reymonta, a nieco później urządzili wieczór kasprowiczowski, który jeszcze powtórzą przez radio. Wspaniale wypadła też listopadowa uroczystość sienkiewiczowska z okazji 20-lecia jego śmierci. Rocznica zgonu najpopularniejszego z polskich pisarzów była w Poznaniu naprawdę wzniosłą manifestacją przywiązania społeczeństwa do swych duchowych wodzów. Można się więc też spodziewać, że 10-lecie zgonu syna ziemi wielkopolskiej, Przybyszewskiego, Poznań uczci również tak, jak na to oryginalny ten pisarz zasługuje.

Kult (jeśli tak można powiedzieć) żyjących pisarzów szerzą „Czwartki literackie" w Pałacu Działyńskich. Szkoda tylko, że nie zawsze sprowadza się do Poznania przedstawicieli wielkiej klasy polskiej literatury. Ostatecznie Kuncewiczowa jest jedną z lepszych naszych prozatorek, przecież nie zdołała ona poruszyć żadnych problemów literackich w swych wspomnieniach z podróży do Palestyny. W rezultacie więc usłyszeliśmy tylko dobrą gawędę. Wieczór autorski Gałuszki, poety z Krakowa, nie dostarczył nielicznie zgromadzonej publiczności głębszych przeżyć. Autor pokazał tylko, jak pięknie deklamować można nawet słabe wiersze.

Poezja Gałuszki kończy się zresztą — na onomatopei, to też niedostatki obrazowania przy nierozerwalności formy i treści psują całą wartość doznania estetycznego u odbiorcy.

Inaczej rzecz ma się z Bąkiem. Wieczór autorski tego utalentowanego poety w „Salonie 35" pozwolił licznym miłośnikom prawdziwej poezji usłyszeć lirykę w najlepszym wydaniu. Wpłynęło na to także staranne przygotowanie recytacyj przez artystę dramatycznego p. Drewicza.

W Pałacu Działyńskich mówił jeszcze Florian Sobieniowski o „teatrze Shawa". Był to jeden z lepszych odczytów teoretyczno-literackich ostatnich miesięcy, jakże różny od niedawnej prelekcji dr. Troczyńskiego o „teatrze polskim". Świetnym ujęciem i mistrzowską charakterystyką twórczości Shawa prelegent w dużej mierze przyczynił się do zaznajomienia słuchaczy z postacią najwybitniejszego komediopisarza naszych czasów.

Teatr Wielki z dużym rozmachem prowadzi w dalszym ciągu swą wartościową działalność. Na święto Niepodległości dano uroczyste przedstawienie „Strasznego Dworu" w najlepszej obsadzie. Nie będzie w tym przesady, jeśli powiem, że wielokrotnie już słyszana ta opera, w ostatnim swym wydaniu wypadła jak jeszcze nigdy w poznańskim Teatrze Wielkim. Niezapomnianych przeżyć dostarczył wagnerowski „Lohengrin", w nowej inscenizacji, którego słuchało się z zapartym tchem mimo, że trwał pełne 4 godziny przy krótkich antraktach. Cudowna muzyka, najlepsze głosy, efektowna gra — oto krótkie streszczenie tej opery, którą można ocenić tylko w superlatywach. Woliński jako Lohengrin stworzył najlepszą swą kreację, zachwycając zarówno potęgą jak i ekspresją głosu. Dr Zawadzka czarowała w roli Elzy, a dr Roessler-Stokowska jako Ortruda podbiła widownię nietylko grą, lecz przede wszystkim zdumiewającą skalą głosu. Zwłaszcza duet z Dolnickim w roli Telramunda w II akcie wypadł przepięknie. Tylko Wraga nie mając popisowej roli nie potrafił olśnić. Nowe dekoracje Szpingera były bez wyjątku udane. Wspaniałą tę inscenizację Poznań długo zachowa w pamięci.

Trzeci z kolei koncert symfoniczny w Teatrze Wielkim w niczym nie osłabił wielkich wrażeń, wyniesionych na dwóch poprzednich. Solistkę — Magda Tagliafero — wywołała grą swą na widowni niesłyszane dawno burze oklasków. Liryzm uczucia, z jakim pianistka wykonała np. utwór Chopina był rzeczywiście wyjątkowy. Nowowiejski nie dał się jednak zaćmić i dyrygował orkiestrą z właściwą sobie maestrią, tym bardziej, że odegrano także jego własny utwór. Na poranku symfonicznym poświęconym polskim kompozytorom, zaprezentowali się nam: Wiłkomirski jako dyrygent i Wielhorski jako solista. Oba występy były wysoce wartościowe. Symfonia Poradowskiego i poemat muzyczny Karłowicza dostarczyły słuchaczom głębokich przeżyć. Wielhorski — według mego zdania — grał lepiej niźli słyszany w ubiegłym miesiącu Czarniawski.

Teatr Polski zapełniał się codziennie do ostatniego miejsca dzięki sztuce nie kogo innego, tylko Szekspira: „Wieczór Trzech Króli" w pomysłowej, staroświecko naiwnej, doskonale dziecinnej nawet inscenizacji Dąbrowskiego, pozwalał przeistoczyć się publiczności w gromadkę dzieci, przyglądających się niezrównanym szekspirowskim, przemiłym jasełkom. Aktorzy potrafili bez wyjątku dostroić się do baśniowego pogodnego nastroju sztuki, promieniejącego ze sceny i ogarniającego widzów tak sugestywną beztroską, że kiedy w efektownym finale zaśpiewano: „Idźcie do domu, komedia skończona" nikt nie miał na to ochoty. Rosłan w roli Tobiasza, Jaworski jako Chudogęba, Noskowski jako Malwolio i Łabuńska w roli Wioli wybijali się na czoło odtwórców.

Teatr Nowy zrobił ostatnio wyłom w swym komediowym repertuarze i wystawił „Różę" Żeromskiego. Sztuka ta o najwyższym napięciu dramatycznym, aż do sceny torturowania włącznie, może już dla nas nie ma swej dawnej wymowy, lecz przecież pozostaje zawsze dziełem wstrząsającym — rachunkiem sumienia pokolenia przedwojennego. Wspaniała inscenizacja, świetne syntetyczne dekoracje Janiny i Juliusza Balickich spotęgowały jeszcze tragizm przedstawionej w sztuce walki. Popisową rolę miał dyr. Lubicz-Lisowski jako Czarowic, uzyskując maximum

wyrazu przy niezwykłej prostocie środków. Dzielnie sekundowała mu Zaklicka.

Cały ten przegląd może doprowadzić tylko do jednego wniosku: kultura Poznania w swym ciągłym postępie osiągnęła już niemały poziom. Postępując tym rytmem niestrudzenie i konsekwentnie dalej stanie się Poznań z czasem centralą polskiego światopoglądu kulturalnego opartego o myśl Zachodnią.

Alfred Kowalkowski.

NOTATKI

Opublikowane w nr. 7—8 Wici W. przez dra Stanisława Helsztyńskiego listy Przybyszewskiego i Berkana wywołały głośny oddźwięk w dziennikach i czasopismach. I tak „Myśl Narodowa" w nr. 41 w artykule „Poeta i krawiec" przedrukowuje cały artykuł p. Helsztyńskiego, opatrując go między innymi taką uwagą: „Znalazł się wreszcie człowiek, który rozkiełznanemu moderniście podsunął proste, ludzkie zwierciadło i który „wziął z niego miarę" na krój człowieka. Trzeba było na to krawca-Poznaniaka. Małopolanie w Krakowie tylko go psuli, bijąc przed nim czołem jako zwiastunem nowego porządku świata moralnego".

W „Pionie" (nr 44) w notatce p. t. „Przybyszewski i krawiec Berkan" — znajdujemy omówienie artykułu „Wici W." oraz krytyczne uwagi pod adresem komentarzy „Myśli Narodowej". „Wiadomości Literackie" w nr. 674 przytaczają również urywki korespondencji Przybyszewskiego i Berkana opublikowanej przez Wici W. „Dziennik Bydgoski" przedrukował „in extenso" artykuł Wici W. z „Myśli Narodowej" oczywiście z komentarzami redakcji „Myśli Narodowej". Dostało mu się za to — niespodziewanie — od „Dnia Pomorza". Bezimienny autor „Dnia" napadł w nr. 197 w niewybredny sposób najpierw na redakcję „Dziennika Bydgoskiego" a następnie na radcę Berkana, zarzucając temu ostatniemu oczywiste nonsensy i godząc w niesłychany sposób na jego cześć. Sprawa obrazy skierowaną została na drogę sądową przeciw redakcji „Dnia" i kalumniatorowi.

— — — — — — — — —

Niestrudzony „odkrywca" wszystkich zapomnianych i niedocenionych pisarzy wielkopolskich, Mieczysław Dereżyński, dodał nowy tomik do ładnej już serji swoich drukiem ogłoszonych publikacyj. Tym razem przypomina p. Dereżyński żywot i zasługi Antoniego Stefańskiego, wielkopolskiego pisarza ludowego. Wspomniany tomik ukazał się w wydawnictwie Drukarni Nakładowej Józefa Kawalera w Szamotułach.

— — — — — — — — —

Ukazały się ostatnio dwa interesujące tomiki poezyj: Jacka Maryi Orlika — „Nad Polesiem Cisza" i Wacława Iwaniuka — „Pełnia Czerwca". Czytelnicy Wici W. znają już p. Orlika z jego poematu drukowanego w swoim czasie na łamach naszego miesięcznika. Do obydwu tomików wrócimy jeszcze, szerzej je omawiając w jednym z następnych numerów.

— — — — — — — — —

Bibljoteka Wici W. zbogaci się niebawem o dziesiąty tomik. Już w najbliższych dniach opuści Oficynę Andrzeja Prądzyńskiego książka St. Helsztyńskiego: „Proroctwo Amosa".

Alicja Iwańska:

Jesienny kataklizm

O żółty mur się rozranił
jesiennych łodyg splot
i liśćmi kapał z rany
na bliskościenny płot.
A liść co ścianę splamił,
bo krwawiąc barwnie wiądł
spłynął stęchłemi kroplami
do ziemnej ampułki z krwią.

Książki nadesłane

„Rola Słowaczyzny w militarnym sojuszu Czechów z bolszewicką Rosją" (Tragedja Narodu Słowackiego) odbitka z miesięcznika Nasza Przyszłość. Warszawa. Broszura o 42 str. autor „Słowak".

— *Z. S. S. R. — Rzeczywistość.* Wydawnictwo kwartalnika „Wschód" Warszawa 1936 str. 39.

— Emanuel Cenkov: *Polonia Restituta* (Epistola Narodu Polskému). Wierszowany tekst czeski z przekładem francuskim. Str. 16. Nakładem „Bursik a Kohont" Praga 1935 r.

— *Sprawozdanie* z działalności Polskiego Związku Turystycznego w Krakowie, wydane z okazji trzydziestolecia istnienia Związku. Str. 93. — Kraków 1936.

Czasopisma nadesłane

Teka Pomorska — nowy kwartalnik regionalny, poświęcony zagadnieniom kultury i sztuki, organ Konfraterni Artystów w Toruniu. Nr 1 tego pisma zatytułowany „Wiosna", jako „literacki dar wiosny" zawiera nast. artykuły i wiersze: Od Redakcji, ks. Mańkowskiego — „O tradycji naukowo-historycznej na Pomorzu", M. Sydowa — „Flisacy na postoju w Toruniu", J. Korczakowskiej „Pejzaż" i „Zimowy poranek", J. Ginnet - Wojnarowiczowej: „Legenda o pierniku w Toruniu", T. Pietrykowskiego — „I. Stańczewski — dziennikarz i literat pomorsko-brazylijski", W. Pniewskiego: „O Mrongowjuszu kilka nowych szczegółów i replika", Z. Bogusławska: „Toruń w najnowszej epopei wiślanej" oraz obszerną „kronikę".

Nr 2 „Lato" zawiera: A. Bukowskiego: „Ign. Łyskowski", J. Borowika „Opinia Pomorska", B. Busiakiewicza: „Człowiek o siedmiu nazwiskach", Z. Bogusławskiej: „Kult rzeczywistości", ks. Wł. Łęgi: „Związki między Pomorzem a państwem rzymskiem", J. Korczakowskiej: „Drobne wiersze", Wł. Pniewskiego: „Jeszcze o regjonaliźmie kaszubskim" oraz „kronikę" pisma.

— *Dziewczęta w mundurkach* — Rok 3. Nr 1 (16) z września 1936 r. Czasopismo Miej. Kat. Gimn. Żeńskiego w Bydgoszczy. —

— *„Orlęta"* Rok IX. Nr 3 z listopada 1936 r. ilustrowany miesięcznik Polskiej Młodzieży szkolnej. Poznań.

— *Meblostyl.* Rok III. Kwartalnik ilustr. poświęcony architekturze wnętrz, sprawom zawod. stolarzy, meblarzy i zawodów pokrewnych. Kraków, wydawnictwo „Powściągliwość i Praca" Tow. św. Michała Archanioła.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.